



# STEPHEN KING

CZTERY PO PÓŁNOCY

# ROZDZIAŁ 1

**Zła wiadomość dla kapitana Engle'a.  
Ślepa dziewczynka. Zapach kobiety.  
Gang Daltonów przyjeżdża do Tombstone.  
Dziwny los lotu numer 29.**

## 1

Brian Engle zatrzymał samolot L-1011 linii American Pride pod wyjściem numer 22 i wyłączył sygnalizację ZAPIĄĆ PASY dokładnie o godzinie 22.14. Przeciagle syknął, a potem rozpiął pasy barkowe.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio po zakończeniu lotu czuł taką ulgę – i takie zmęczenie. Paskudnie łupało mu w głowie i miał bardzo konkretne plany na wieczór. Żadnych drinków w saloniku dla pilotów, żadnej kolacji ani nawet kąpieli po powrocie do Westwood. Zamierzał runąć do łóżka i spać przez czternaście godzin.

Lot American Pride numer 7 – flagowy kurs z Tokio do Los Angeles – był opóźniony najpierw z powodu wiatrów przeciwnych, a potem typowych zatorów na lotnisku LAX... które Engle uważał za chyba najgorszy port lotniczy w Ameryce, jeśli nie liczyć Logana w Bostonie. Na domiar złego w końcowej fazie trasy pojawił się problem z ciśnieniem w kabinie. Z początku był on drobny, a potem stopniowo narastał, aż w końcu zrobiło się strasznie. Doszło do tego, że maszynie zagrażała gwałtowna dekompresja... ale na szczęście już się nie pogorszyło. Czasami tego typu sytuacje w nagły i tajemniczy sposób stabilizują się same z siebie i tak właśnie stało się tym razem. Pasażerowie, którzy w tej chwili wysiadali przednim wyjściem, nie mieli zielonego pojęcia, jak niewiele brakowało, żeby dzisiejszy lot z Tokio zakończyli w postaci pasztetu z człowieka, ale Brian był tego świadom... i przyprawiło go to o diabelny ból głowy.

– Ten rzęch idzie wprost na diagnostykę – odezwał się do drugiego pilota. – Już o tym wiedzą i orientują się, w czym problem, prawda?

Tamten skinął głową.

– Nie podoba im się to, ale wiedzą – odpowiedział.

– Gównu mnie obchodzi, Danny, czy im się podoba, czy nie. Mało brakowało.

Danny Keene przytaknął. Zdawał sobie z tego sprawę.

Brian westchnął, a potem roztarł dłonią kark. Łeb bolał go jak chory ząb.

– Może robię się za stary do tej roboty.

Oczywiście od czasu do czasu każdy mówi coś takiego o swojej pracy, zwłaszcza po ciężkiej zmianie, i Brian świetnie wiedział, że wcale nie jest za stary – miał czterdzieści trzy lata, czyli właśnie wchodził w najlepszy okres dla pilota. Mimo to dzisiaj prawie wierzył w swoje słowa. Boże, ależ był zmęczony.

Ktoś zapukał do drzwi kokpitu. Nawigator Steve Searles obrócił się w fotelu i otworzył je, nie podnosząc się z miejsca. W wejściu stał mężczyzna w zielonej marynarce American Pride. Wyglądał jak kontroler kart pokładowych, ale Brian wiedział, że nim nie jest. To John (a może James) Deegan, zastępca szefa American Pride na lotnisku LAX.

– Kapitan Engle?

– Tak?

W Brianie od razu uruchomiły się wewnętrzne mechanizmy obronne i ból głowy się nasilił. Pierwsza myśl, zrodzona nie z logiki, ale z napięcia i ze zmęczenia, była taka, że spróbują rzucić na niego odpowiedzialność za dziurawy samolot. Paranoja, wiadomo, ale był w paranoicznym nastroju.

– Obawiam się, że mam dla pana złą wiadomość, kapitanie.

– Chodzi o ten wyciek? – Brian powiedział to zbyt ostrym tonem, więc kilku wysiadających pasażerów aż się obejrzało, ale już było za późno, żeby coś na to poradzić.

Deegan pokręcił głową.

– Chodzi o pańską żonę.

Przez moment Brian nie miał pojęcia, o czym tamten mówi. Stał tylko z rozdziawionymi ustami i czuł się nadzwyczaj głupio. W końcu go olśniło. Oczywiście mówił o Anne.

– To moja była żona. Wzięliśmy rozwód półtora roku temu. Co z nią?

– Zdarzył się wypadek – oznajmił Deegan. – Niech pan lepiej pozwole na górę do mojego gabinetu.

Brian patrzył na niego z zaciekawieniem. Po trzech długich, napiętych godzinach wszystko to wydawało się dziwnie nierzeczywiste. Ugryzł się w język, żeby nie powiedzieć Deeganowi, że jeśli to jakieś brednie w stylu *Ukrytej kamery*, to niech się pieprzy. Ale oczywiście nie mogło o to chodzić. Władze linii lotniczych nie gustują w dowcipach, zwłaszcza kosztem pilotów, którzy właśnie cudem uniknęli tragedii w powietrzu.

– Co z Anne? – usłyszał własny głos. Tym razem powtórzył pytanie łagodniej. Miał świadomość, że drugi pilot przygląda mu się z ostrożnym współczuciem. – Wyszła z tego cało?

Deegan spuścił wzrok na swe błyszczące buty i Brian już wiedział, że chodzi o bardzo niedobłą wiadomość. Że Anne z pewnością nie wyszła z tego cało. Wiedział, ale nie mógł w to uwierzyć. Miała dopiero trzydzieści cztery lata, była zdrowa, dbała o dobre nawyki. Nieraz odnosił również wrażenie, że jego była żona jest jedynym poczytalnym kierowcą w Bostonie... a może w całym stanie Massachusetts.

Potem usłyszał, że zadaje inne pytanie, i naprawdę tak właśnie było – jakby do jego umysłu wkroczył ktoś obcy i używał jego ust jako megafonu.

– Czy ona nie żyje?

John czy James Deegan rozejrzał się, może szukając wsparcia, ale przy wyjściu z samolotu stała tylko jedna stewardesa, która życzyła wsiadającym pasażerom miłego pobytu w Los Angeles i raz po raz zerknęła nerwowo w stronę kokpitu. Zapewne obawiała się o rozszczęlenie, co przyszło do głowy Brianowi – że z jakiegoś powodu to załogę obwinia się za wyciek, przez który ostatnie godziny lotu stały się takim koszmarem. Deegan mógł liczyć tylko na siebie. Znów spojrzął na Briana i skinął głową.

– Tak, niestety. Pozwoli pan ze mną, kapitanie?

Kwadrans po północy Brian Engle zajmował miejsce w fotelu 5A samolotu linii American Pride, lot numer 29 – flagowego kursu z Los Angeles do Bostonu. Za mniej więcej piętnaście minut miał się rozpocząć nocny lot. Brian pamiętał swoją wcześniejszą myśl, że jeśli nie LAX jest najbardziej niebezpiecznym portem lotniczym w Ameryce, to na pewno lotnisko Logana. Teraz, w skrajnie nieprzyjemnych okolicznościach, nadarzała się okazja doświadczenia obu tych miejsc w odstępie ośmiu godzin: w Los Angeles wylądował jako pilot, w Bostonie wylądował zaś jako pasażer z darmowym biletem.

Jego ból głowy, teraz znacznie gorszy, niż gdy zakończył lot numer 7, jeszcze się nasilał.

Pożar, pomyślał Brian. Cholerny pożar. Gdzie były wykrywacze dymu, na litość boską? Przecież to nowy budynek!

Uświadomił sobie, że przez ostatnie cztery czy pięć miesięcy prawie nie myślał o Anne. Przez pierwszy rok po rozwodzie zdawało mu się, że nie myśli o niczym innym, tylko o tym, co ona robi, co ma na sobie i oczywiście z kim się spotyka. Kiedy wreszcie zaczął zdrowieć, potoczyło się to bardzo szybko... jakby wstrzyknięto mu antybiotyk na ożywienie ducha. Dostatecznie dużo naczał się o rozwodach, by wiedzieć, co jest zazwyczaj tym ożywiającym czynnikiem: nie antybiotyk, ale inna kobieta. Innymi słowy, efekt klina.

W życiu Briana nie pojawiła się inna kobieta – przynajmniej na razie. Odbył kilka randek i jeden ostrożny stosunek płciowy (nabrał przekonania, że w epoce AIDS każdy pozamałżeński stosunek płciowy musi być ostrożny), ale innej kobiety nie było. Po prostu... wyzdrowiał.

Patrzył, jak pozostali pasażerowie wchodzą na pokład. Młoda blondynka szła w towarzystwie dziewczynki w ciemnych okularach. Mała trzymała ją za łokieć. Kobieta mruknęła coś do podopiecznej, a ta natychmiast obróciła się w kierunku jej głosu – i Brian zrozumiał, że jest niewidoma. Wyczytał to z ruchu głowy. Zabawne, stwierdził, jak wiele może zdradzić taki drobny gest.

Anne... Nie powinieneś teraz myśleć o Anne?

Ale jego zmęczony umysł wciąż uciekał od tego tematu – Anne, która była kiedyś jego żoną; Anne, jedynej kobiety, którą w gniewie uderzył; Anne, która teraz nie żyła.

Chyba mógłby ruszyć w trasę z wykładami dla rozwiedzionych mężczyzn. Ba, dla rozwiedzionych kobiet również. Temat jego

wystąpien brzmiały: *Rozwód i sztuka zapominania*.

Idealny moment na rozwód przychodzi tuż po czwartej rocznicy ślubu – mówiłby. Spójrzcie na mnie. Następny rok przeżyłem w czysćcu, wciąż się głowiłem, w jakim stopniu to moja wina, a w jakim jej, czy miałem prawo tak bardzo naciskać w kwestii dzieci – bo w naszym przypadku właśnie to była ta wielka sprawa, żaden dramat w stylu narkotyków albo zdrady, ot, stara, znana śpiewka, dzieci kontra kariera – a potem nagle w mojej głowie pojawiła się winda ekspresowa; była w niej Anne i pojechała w dół.

Tak. Pojechała w dół. I przez ostatnie kilka miesięcy Brian praktycznie wcale o niej nie myślał... nawet kiedy przychodziła pora comiesięcznej zapłaty alimentów. Kwota była bardzo rozsądna i cywilizowana; Anne sama zarabiała rocznie osiemdziesiąt tysięcy dolarów brutto. Przelewu dokonywał prawnik, więc stanowiło to jedynie kolejną pozycję w zestawieniu finansowym, drobne dwa tysiące dolarów wciśnięte między rachunek za prąd a ratę kredytu za mieszkanie.

Brian patrzył, jak przejściem między fotelami idzie tyczkowaty nastolatek w jarmulce, niosąc pod pachą futerał na skrzypce. Chłopak wydawał się zarazem nerwowy i podniecony, w jego oczach przeglądała się przyszłość. Brian mu zazdrościł.

W ostatnim roku małżeństwa nawarstwiło się mnóstwo goryczy i złości, aż wreszcie, mniej więcej cztery miesiące przed końcem, stało się: ręka Briana poszła w ruch, zanim mózg zdążył ją powstrzymać. Nie chciał o tym pamiętać. Anne wypłała za dużo na imprezie i kiedy wrócili do domu, ostro dała mu popalić.

„Przeastań zawracać mi tym głowę, Brianie. Daj mi wreszcie spokój. Koniec z gadaniem o dzieciach. Jak chcesz zbadać nasienie, to idź do lekarza. Ja pracuję w reklamie, a nie przy robieniu dzieci. Mam dość tego twojego samczego piep...”

To wtedy ją uderzył, mocno, prosto w twarz. Cios uciał ostatnie słowo z brutalną precyzją. Stali w mieszkaniu, w którym później miała umrzeć, i patrzyli na siebie, oboje bardziej zszokowani i przestraszeni, niż byli skłonni przyznać (choć teraz, gdy siedział na miejscu 5A i patrzył, jak pasażerowie lotu numer 29 wchodzą na pokład, Brian to przyznawał, wreszcie przyznawał to przed samym sobą). Anne dotknęła ust, które zaczęły krwawić. Uniosła ku niemu palce.

„Uderzyłeś mnie” – powiedziała. W jej głosie nie było gniewu, lecz zdziwienie. Przyszło mu do głowy, że zapewne po raz pierwszy ktokolwiek dotknął w gniewie jakiegokolwiek części ciała Anne Quinlan Engle.

„Tak” – powiedział. „Uderzyłem. I uderzę znowu, jeżeli się nie zamkniesz. Dość tego, skarbie, nie będziesz mnie już chłostać tym swoim językiem. Lepiej się zamknij. Ostrzegam cię dla twojego dobra. Dość tego. Jak chcesz mieć w domu kogoś do pomiatania, to kup sobie psa”.

Małżeństwo kulało jeszcze przez kilka miesięcy, ale tak naprawdę skończyło się w momencie, kiedy ręka Briana weszła w chwilowy kontakt z policzkiem Anne. Sprowokowała go – Bóg mu świadkiem, że go sprowokowała – mimo to oddałby wiele, żeby cofnąć tę jedną nieszczęsną sekundę.

Na pokład wlewali się już ostatni pasażerowie, a on niemal obsesyjnie myślał o perfumach Anne. Dokładnie pamiętał ich zapach, ale nie nazwę. Lissome? Lithsome? Na litość boską, może Lithium? Wciąż mu się wymykała. Dostawał szału.

Tęsknię za nią, pomyślał z przygnębieniem. Teraz, gdy odeszła na zawsze, tęsknię za nią. Niesamowite, prawda?

Lawnboy? Taka głupia nazwa, jak kosiarka?

Skończ już, powiedział własnemu umysłowi. Opuść sobie.

W porządku, odparł umysł. Nie ma sprawy, mogę przerwać. Mogę przerwać, kiedy zechcę. Może Lifebuoy? Nie, to mydło. Przepraszam. Lovebite, jak malinka? Lovelorn, jak usychający z miłości?

Brian zapiął pas, oparł się w fotelu, zamknął oczy i poczuł woń perfum, których nie potrafił nazwać.

Właśnie wtedy odezwała się do niego stewardesa. Oczywiście. Brian Engle miał teorię, że personel pokładowy jest szkoleny – być może na tajnym kursie podyplomowym – żeby czekać, aż pasażer zamknie oczy, i dopiero wtedy oferować mu jakąś zbędną usługę. I oczywiście upewnić się, że zasnął, zanim się go obudzi, by zapytać, czy nie potrzebuje koca lub poduszki.

– Przepraszam... – zaczęła, ale zaraz urwała.

Zobaczył, że jej wzrok biegnie od epoletów na ramionach jego czarnej marynarki do leżącej na sąsiednim siedzeniu czapki z bezsensownym bazgrołem podobnym do jajecznicy.

Zastanowiła się i zaczęła od nowa:

– Przepraszam, panie kapitanie, życzy pan sobie kawy albo soku pomarańczowego?

Lekko rozbawiło go to, że zdołał zbić ją z tropu. Stewardesa wskazała stolik w przedniej części kabiny, tuż pod niedużym kwadratowym ekranem do wyświetlania filmów. Stały na nim dwa kubeczki z lodem. Z każdego wystawała smukła zielona szyjka butelki.

– Oczywiście mam też szampana.

Brian rozważał

(Love Boy, też nie to, ale blisko)

szampana, ale tylko przez moment.

– Nie, dziękuję – rzucił. – Za obsługę w trakcie lotu również. Chyba aż do Bostonu będę spał. Jak pogoda?

– Chmury na sześciu tysiącach metrów od Wielkich Równin aż po Boston, ale to nie problem. Polecimy na jedenastu tysiącach. Aha, otrzymaliśmy sygnały o zorzy polarnej nad pustynią Mojave. Może warto jeszcze nie zasypiać.

Uniósł brwi.

– Żartuje pani. Zorza polarna nad Kalifornią? O tej porze roku?

– Tak nas poinformowano.

– Ktoś chyba łyka za dużo tanich leków – powiedział Brian, a ona się zaśmiała. – Dziękuję, chyba się jednak zdrzemnę.

– Dobrze, panie kapitanie. – Wahała się jeszcze przez moment. – To pan jest tym pilotem, który właśnie stracił żonę, prawda?

Ból głowy pulsował i warczał, ale Brian zmusił się do uśmiechu. Ta kobieta, w zasadzie ledwie dziewczyna, nie miała złych intencji.

– Byłą żonę, ale poza tym się zgadza. To ja.

– Proszę przyjąć kondolencje.

– Dziękuję.

– Czy kiedyś z panem latałam?

Uśmiech Briana na moment powrócił.

– Wątpię. Już piąty rok kursuję na trasach zagranicznych. – A potem, ponieważ nie wiedzieć czemu wydawało się to konieczne, podał jej rękę. – Brian Engle.

Uścisnęła ją.

– Melanie Trevor.

Raz jeszcze się do niej uśmiechnął, a potem znowu oparł się w



fotelu i zamknął oczy. Pozwolił sobie nieco odplynać, ale nie zasnąć – ogłoszenia przed startem, a potem rozbieg i tak by go obudziły. Będzie dość czasu na spanie, gdy już znajdą się w powietrzu.

Lot numer 29, jak większość nocnych lotów, rozpoczął się punktualnie – Brian uważał, że to jedna z ich niewielu zalet. Znajdowali się w boeingu 767, wypełnionym w nieco ponad połowie. Oprócz Briana w pierwszej klasie było jeszcze sześciu pasażerów. Żaden nie wyglądał na pijaka ani awanturnika. To dobrze. Może drogę do Bostonu naprawdę uda się przespać.

Cierpliwie przyglądał się Melanie Trevor, gdy wskazywała wyjścia, demonstrowała, jak w razie spadku ciśnienia korzystać z małej złotej maski (tę procedurę sam niedawno przypominał sobie w myślach, i to w sporym pośpiechu) oraz jak nadmuchać kamizelkę ratunkową umieszczoną pod fotelem. Kiedy samolot wzbił się w powietrze, stewardesa znowu do niego podeszła, by raz jeszcze zapytać, czy nie przynieść czegoś do picia. Zaprzeczył ruchem głowy, podziękował, a potem wcisnął guzik opuszczający oparcie. Zamknął oczy i prędko zasnął.

Nigdy więcej nie zobaczył Melanie Trevor.

### 3

Po mniej więcej trzech godzinach od startu lotu numer 29 zbudziła się mała dziewczynka, Dina Bellman, i spytała swoją ciotkę Vicky, czy może napić się wody.

Ciotka nie odpowiedziała, więc Dina powtórzyła pytanie. Gdy odpowiedź nadal nie padła, dziewczynka wyciągnęła rękę, żeby dotknąć ramienia cioci, ale była prawie pewna, że dłoń napotka tylko pusty fotel, i tak właśnie się stało. Doktor Feldman mówił, że u dzieci niewidomych od urodzenia często wykształca się wysoka wrażliwość – niemalże radar – która pozwala wyczuć obecność lub nieobecność osób w bezpośredniej bliskości. Ale Dina nie potrzebowała jego informacji. Wiedziała, że to prawda. Nie zawsze działało, lecz zazwyczaj tak... zwłaszcza gdy chodziło o jej widzącego opiekuna.

Na pewno poszła do toalety i zaraz wróci, pomyślała Dina, a mimo to poczuła niejasny niepokój. Nie obudziła się od razu; to był powolny

proces, trochę jak stopniowe wypływanie na powierzchnię po zanurkowaniu w jeziorze. Gdyby w ciągu ostatnich dwóch czy trzech minut ciocia Vicky, która siedziała przy oknie, otarła się o nią, żeby opuścić swoje miejsce, Dina powinna była to poczuć.

Zatem wyszła wcześniej, uznała dziewczynka. Pewnie musiała na dłużej. To nic wielkiego, Dino. Albo może zatrzymała się po drodze i z kimś rozmawia.

Tylko że Dina wcale nie słyszała, żeby w głównej kabynie dużego samolotu ktokolwiek rozmawiał; rozbrzmiewało tylko równe, ciche buczenie silników odrzutowych. Niepokój dziewczynki narastał.

W jej głowie odezwał się głos panny Lee, jej terapeutki (tyle że Dina zawsze myślała o niej jako o swej nauczycielce od niewidzenia): „Nie bój się bać, Dino – od czasu do czasu wszystkie dzieci się boją, zwłaszcza w całkiem nowych sytuacjach. A szczególnie dzieci niewidome. Uwierz, dobrze o tym wiem”. I Dina rzeczywiście wierzyła, bo panna Lee także nie widziała od urodzenia. „Nie pozbywaj się strachu... ale też mu się nie poddawaj. Usiądź spokojnie i pomyśl, jak rozwiązać problem. Zdziwisz się, jak często to działa. Zwłaszcza w całkiem nowych sytuacjach”.

To zdecydowanie pasowało do okoliczności. Dina po raz pierwszy leciała samolotem, w dodatku wielkim odrzutowcem transkontynentalnym z wybrzeża na wybrzeże.

„Pomyśl, jak rozwiązać problem”.

Obudziła się w nieznanym miejscu i odkryła, że jej widząca opiekunka zniknęła. Oczywiście, że coś takiego budzi niepokój, nawet jeśli ta nieobecność jest tylko chwilowa – przecież w samolocie na wysokości jedenastu tysięcy metrów opiekunka Diny na pewno nie postanowiła skoczyć sobie na tacos, bo zaburzało jej w brzuchu. A co do ciszy w kabynie... cóż, w końcu to nocny lot. Pozostali pasażerowie pewnie śpią.

Wszyscy? – spytała z powątpiewaniem zaniepokojona cząstka umysłu Diny. WSZYSCY śpią? Czy to możliwe?

Potem sobie odpowiedziała: film. Ci, którzy nie zasnęli, na pewno oglądają film wyświetlany w trakcie lotu. Naturalnie.

Dziewczynkę zalała niemal namacalna fala ulgi. Ciocia Vicky mówiła, że będą wyświetlać *Kiedy Harry poznał Sally* z Billym Crystalem i Meg Ryan. Sama zamierzała go obejrzeć... oczywiście

pod warunkiem, że nie zaśnie.

Dina delikatnie przesunęła dłonią po fotelu cioci w poszukiwaniu słuchawek, ale nie było ich tam. Zamiast tego palce dziewczynki namacały książkę w miękkiej oprawie. To na pewno jeden z romansów, które ciocia Vicky tak lubiła czytać – opowieści o czasach, kiedy mężczyźni, jak mawiała, byli mężczyznami, a kobiety nie.

Palce Diny podążyły nieco dalej i napotkały coś jeszcze – gładką, drobnoziarnistą skórę. Po chwili odnalazły suwak, a zaraz potem pasek.

To była torebka cioci Vicky.

Niepokój dziewczynki powrócił. Na fotelu cioci nie leżały słuchawki, była natomiast torebka. Znajdowały się w niej wszystkie czeki podróżne oprócz dwudziestki, którą Dina miała schowaną głęboko we własnej torebce – wiedziała o tym, bo słyszała, że mama i ciocia rozmawiały o czekach przed wyjściem z domu w Pasadenie.

Czy idąc do toalety, ciocia zostawiłaby torebkę na siedzeniu? Czy postąpiłaby tak, skoro jej towarzyszka podróży nie tylko nie ma jeszcze dziesięciu lat i śpi, ale jest też niewidoma?

Dina w to wątpiła.

„Nie pozbywaj się strachu... ale też mu się nie poddawaj. Usiądź spokojnie i pomyśl, jak rozwiązać problem”.

Nie podobał jej się jednak ten pusty fotel ani cisza w samolocie. Oczywiście mogło być tak, że większość pasażerów spała, a pozostali zachowywali się jak najciszej przez wzgląd na nich, ale i tak jej się to nie podobało. W głowie dziewczynki zbudziło się zwierzę, takie z bardzo ostrymi kłami i pazurami, i zaczęło warczeć. Wiedziała, jak to zwierzę się nazywa: panika. Jeśli szybko nad nim nie zapanuje, może zrobić coś, czym zawstydzi i siebie, i ciocię.

Kiedy już będą widzieć, pomyślała, kiedy lekarze w Bostonie wyleczą mi oczy, skończą się takie głupstwa.

To z pewnością prawda, lecz w tej chwili zupełnie nie pomagało.

Nagle Dina przypomniała sobie, że kiedy usiadły, ciocia Vicky wzięła ją za rękę, zwinęła jej wszystkie palce poza wskazującym, a potem pokierowała ten palec w kierunku krawędzi fotela. Znajdowały się tam przyciski – tylko kilka, nieskomplikowanych, łatwych do zapamiętania. Po włożeniu słuchawek dwa małe kółka pozwalały przestawiać kanały audio oraz regulować głośność. Mały prostokątny guzik włączał lampkę nad fotelem. „To ci się nie przyda” – powiedziała

ciocia Vicky i było słyszeć, że się uśmiecha. „Przynajmniej na razie”. Ostatni przycisk, kwadratowy, służył do wezwania stewardesy.

Palec Diny dotknął go i przesunął się po lekko wypukłej powierzchni.

Czy naprawdę chcesz to zrobić? – zapytała dziewczynka samą siebie i natychmiast sobie odpowiedziała: Tak, chcę.

Wcisnęła guzik i usłyszała cichy dzwonek. Potem czekała.

Nikt nie przyszedł.

Słyszała tylko wieczny na pozór szepc silników odrzutowych. Nikt nic nie mówił. Nikt się nie śmiał (chyba jednak ten film nie jest taki zabawny, jak sądziła ciocia). Nikt nie kaszał. Sąsiedni fotel, fotel ciocie Vicky, wciąż był pusty, a nad Diną nie pochyliła się stewardesa – osnuta pokrępiającą powłoką perfum, szamponu i stabiutkiej woni makijażu – żeby spytać, czy coś przynieść: może przekąskę albo kubek wody.

Tylko cichy, równy pomruk silników.

Zwierzę zwane paniką ujadało głośniejsze niż kiedykolwiek. Żeby z nim walczyć, Dina spróbowała skoncentrować ten swój radar tak bardzo, żeby zmienił się w swoistą niewidzialną białą łaskę, którą mogłaby sięgnąć ze swego miejsca pośrodku kabiny. Była w tym dobra; czasem, kiedy bardzo się skupiała, niemal jej się wydawało, że widzi oczami innych ludzi. Jeśli wystarczająco mocno o tym myślała, wystarczająco tego pragnęła. Pewnego razu opowiedziała o tym uczuciu pannie Lee, a ta zareagowała niespodziewanie ostro. „Niewidomi często fantazjują o dzieleniu wzroku” – powiedziała. „A zwłaszcza niewidome dzieci. Nigdy nie popełniaj tego błędu, Dino: nie polegaj na tym wrażeniu. Inaczej wylądujesz na wyciągu, bo zlecisz po schodach albo wpadniesz pod samochód”.

Dlatego Dina odłożyła na bok próby „dzielenia wzroku”, jak mówiła o tym panna Lee, a w rzadkich chwilach, kiedy znów opanowywało ją to uczucie – że widzi świat, chwiejny, pełen cieni, ale prawdziwy, oczami matki albo ciocie Vicky – starała się je odegnąć... tak jak ktoś, kto się obawia, że zaczyna wariować, wypiera podszepty widmowych głosów. Teraz jednak się bała i dlatego zaczęła szukać innych ludzi, próbowała ich wyczuć, lecz ich nie znalazła.

Przerażenie pęczniało, zwierzę zwane paniką ujadało bardzo głośno. Czowała, że w jej gardle wzbiera płacz, więc zacisnęła zęby, żeby go zdusić. Bo nie byłyby to płacz ani jęk; gdyby pozwoliła, z jej piersi

wyrwałby się krzyk donośny niczym syrena alarmowa.

Nie będę krzyczeć, powiedziała sobie z mocą. Nie będę krzyczeć, nie zawstydzę cioci Vicky. Nie będę krzyczeć, nie obudzę tych, którzy śpią, i nie wystraszę pozostałych, żeby przybiegli i mówili: „Patrzcie na tę małą, wystraszoną dziewczynkę, patrzcie na tę małą, wystraszoną niewidomą dziewczynkę”.

Teraz jednak jej radar – ten, który oceniał przeróżne, nawet niewyraźne, sygnały sensoryczne i czasem naprawdę dawał poczucie, że Dina widzi oczami innych ludzi (nieważne, co mówiła panna Lee) – potęgował strach, zamiast go łagodzić.

Bo podpowiadał jej, że wokół niej nie ma nikogo.

Absolutnie nikogo.

## 4

Brian Engle miał bardzo zły sen. Znowu pilotował samolot American Pride lot numer 7 z Tokio do Los Angeles, ale tym razem wyciek był znacznie większy. W kokpicie zawisło namacalne poczucie katastrofy. Steve Searles płakał, jedząc ciastko z kruszonką.

„Skoro jesteś taki zdenerwowany, to dlaczego jesz?” – zapytał go Brian. Kabinę wypełniał ostry gwizd jak z czajnika. To na pewno dźwięk rozszczelnienia, uznał. Niemądre rozumowanie – rozszczelnienie niemal zawsze jest ciche, dopóki nie nastąpi gwałtowna dekompresja – ale w snach wszystko jest możliwe.

„Bo uwielbiam te ciastka, a już nigdy więcej ich nie zjem” – odpowiedział Steve, łkając jeszcze głośniej.

Potem nagle ostry gwizd ustał. Pojawiła się uśmiechnięta stewardesa – akurat Melanie Trevor – i z ulgą w głosie oznajmiła, że wyciek znaleziono i załatano. Brian wstał, a następnie ruszył za nią do kabiny pasażerskiej, gdzie Anne Quinlan Engle, jego była żona, stała w niewielkiej wnęcie, z której usunięto fotele. Obok niej nad oknem widniał tajemniczy i trochę złowieszczy napis: TYLKO SPADAJĄCE GWIAZDY. Litery były czerwone, w kolorze niebezpieczeństwa.

Anne miała na sobie ciemnozielony kostium stewardesy American Pride, co zdziwiło Briana – przecież pracowała w agencji reklamowej w Bostonie i na „stewki”, z którymi latał jej mąż, zawsze patrzyła z

góry, znad swojego wąskiego, arystokratycznego nosa. Przyciskała dłoń do pęknięcia w kadłubie.

„Widzisz, kochanie?” – rzekła z dumą. „Wszystko naprawione. Nieważne, że mnie uderzyłeś. Wybaczyłam ci”.

„Nie rób tego, Anne!” – krzyknął, ale było już za późno. Na jej dłoni pojawiło się wgłębienie w kształcie pęknięcia w kadłubie. Powiększało się, w miarę jak różnica ciśnień bezlitośnie wysysała rękę. Najpierw wciągnęło środkowy palec, potem serdeczny, wskazujący i wreszcie mały. Rozległo się głośne pyknięcie, jakby nadgorliwy kelner wyszarpnął korek od szampana, i przez szparę w kadłubie przeszła cała dłoń.

Mimo to Anne nadal się uśmiechała.

„To L’Envoi, kochanie” – powiedziała, kiedy zniknęło jej ramię. Włosy wyrwały się spod spinki, która trzymała je z tyłu, i mglistą chmurą powiewały wokół twarzy. „Zawsze używałam tych perfum, nie pamiętasz?”.

Pamiętał... teraz pamiętał. Tyle że teraz to nie miało znaczenia.

„Anne, wracaj!” – krzyknął.

Ciągle się uśmiechała, kiedy jej rękę powoli wsysało w pustkę na zewnątrz samolotu.

„Brianie, to wcale nie boli – uwierz”.

Rękaw zielonego żakietu American Pride zaczął furkotać. Brian widział ciało Anne wysysane w postaci gęstawej białej galarety. Przypominało klej.

„L’Envoi, pamiętasz?” – zapytała Anne wciągana w szparę, a teraz Brian znów to słyszał: dźwięk, który poeta James Dickey nazwał niegdyś „przepastnym dzikim gwizdem przestrzeni”. Robił się coraz głośniejszy, w miarę jak sen ciemniał, a jednocześnie coraz rozleglejszy. Stał się nie krzykiem wiatru, lecz ludzkiego głosu.

Brian gwałtownie otworzył oczy. Na moment zdezorientowała go siła snu, ale tylko na moment – był przecież zawodowcem wykonującym na co dzień pracę o wysokim stopniu ryzyka, wymagającą dużej odpowiedzialności i szybkich reakcji. Leciał lotem numer 29, a nie numer 7, nie z Tokio do Los Angeles, ale z Los Angeles do Bostonu, gdzie Anne już nie żyła – zginęła nie jako ofiara rozszczelnienia w samolocie, lecz pożaru w swoim mieszkaniu przy Atlantic Avenue, niedaleko nabrzeża. Jednakże dźwięk nie ustawał.

To był piskliwy krzyk małej dziewczynki.

## 5

– Niech ktoś się do mnie odezwie – prosiła cichym, wyraźnym głosem Dina Bellman. – Przepraszam, ale moja ciocia zniknęła, a ja jestem niewidoma.

Nikt nie odpowiedział. Czterdzieści rzędów i dwie przegrody przed nią kapitan Brian Engle śnił o tym, że jego nawigator płacze i zajada ciastko z kruszonką.

Słyszała tylko nieprzerwany pomruk silników odrzutowych.

Na myśli Diny znów padł cień paniki, więc przysłała jej do głowy tylko jedna rzecz, która pomogłaby przegonić ten strach: rozpięła pas, wstała i ostrożnie wyszła do przejścia między fotelami.

– Halo? – odezwała się głośniejszym głosem. – Halo, jest tu ktoś?

Wciąż nikt nie odpowiadał. Dina zaczęła płakać. Mimo to posępnie wzięła się w garść i powoli ruszyła przejściem po lewej stronie samolotu. Licz uważnie, ostrzegła jakaś cząstka jej umysłu. Licz, ile rzędów mijasz, bo inaczej się zgubisz i nie wrócisz na miejsce.

Zatrzymała się tuż przed rzędem, który zajmowały z ciocią Vicky, i wyciągnęła ręce z rozczapierzonymi palcami. Wiedziała, że w tym fotelu siedzi jakiś mężczyzna, ponieważ ciocia odezwała się do niego tuż przed startem. Gdy odpowiedział, jego głos dobiegał z miejsca wprost przed Diną. Wiedziała to; ustalanie, skąd dobiegają głosy, stanowiło część jej życia, coś równie zwyczajnego jak oddychanie. Śpiący pasażer na pewno się zdrygnie, gdy dotkną go rozłożone palce Diny, ale ona przestała się już przejmować takimi rzeczami.

Tylko że fotel był pusty.

Zupełnie pusty.

Dina znów się wyprostowała, policzki miała mokre, w głowie pulsowało jej ze strachu. Chyba nie poszli do toalety razem? Oczywiście, że nie.

Może są tu dwie toalety. W tak dużym samolocie muszą przecież być.

Tylko że to również bez znaczenia.

Ciocia Vicky nie zostawiłaby torebki choćby nie wiadomo co. Dina

była o tym przekonana.

Powoli ruszyła przed siebie, zatrzymując się przy każdym kolejnym rzędzie. Wyciągała ręce w kierunku najbliższych foteli, najpierw po lewej, a potem po prawej stronie.

Na jednym z siedzeń namacała kolejną torebkę, na następnym chyba aktówkę, na kolejnym długopis i notatnik. W dwóch innych fotelach natrafiła na słuchawki. Na tych drugich znajdowało się coś lepkiego. Dina potarła palcem o palec, a potem skrzywiła się i wytarła je o kawałek materiału na zagłówku fotela. To była woskowina uszna. Dziewczynka nie miała wątpliwości, rozpoznała tę charakterystyczną obrzydliwą konsystencję.

Powoli brnęła naprzód, nie dbając już o subtelność poszukiwań. To bez znaczenia. Nikogo nie dźgnęła w oko, nie uszczypnęła w policzek, nie pociągnęła za włosy.

Każdy sprawdzany fotel okazywał się pusty.

Niemożliwe, myślała gorączkowo. Po prostu niemożliwe! Przecież kiedy wsiadałyśmy, ludzie byli wszędzie! Słyszałam ich! Wyczuwałam! Czulałam ich zapach! Gdzie oni są?

Nie wiedziała, ale rzeczywiście ich nie było: nabierała co do tego coraz większej pewności.

W pewnej chwili, podczas gdy spała, jej ciocia wraz z całą resztą pasażerów lotu numer 29 zniknęła.

*Nie!* – zawołała racjonalna część jej umysłu głosem panny Lee. *Nie, Dino, to niemożliwe! Skoro wszyscy zniknęli, kto pilotuje samolot?*

Dziewczynka szła szybciej, ściskając krawędzie foteli, szeroko otwierała ślepe oczy za ciemnymi szklami, rąbek jej różowej sukienki trzepotał. Straciła rachubę, lecz w narastającym zaniepokojeniu uporceżywą ciszą już się tym nie przejmowała.

Znowu stanęła i wyciągnęła ręce w kierunku fotela po prawej. Tym razem namacała włosy... ale w zupełnie niewłaściwym miejscu. Włosy leżały na siedzeniu – jak to możliwe?

Zacisnęła na nich dłoń... i je uniosła. Nagle z przerażeniem uświadomiła sobie prawdę.

To są włosy, zrozumiała, ale ich właściciela nie ma. To skalp. Trzymam w ręku skalp martwego człowieka.

Właśnie wtedy Dina Bellman otworzyła usta i wydała z siebie wrzask, który wyrwał ze snu Briana Engle'a.



Albert Kaussner siedział przy barze i pił whisky marki Branding Iron. Po prawej miał braci Earpów, Wyatta i Virgila, a po lewej Doca Hallidaya. Właśnie zamierzał wznieść toast, gdy do Sergio Leone Saloon wpadł mężczyzna z drewnianą nogą.

– Gang Daltonów! – zawołał. – Gang Daltonów zajechał do Dodge!

Wyatt odwrócił się do niego ze spokojem. Twarz miał pociągłą, opaloną i przystojną. Bardzo przypominał Hugh O'Briana.

– Jesteśmy w Tombstone, Muffin – powiedział. – Weź no się, cholera, w garść.

– Nieważne, gdzie jesteśmy, oni zajechali! – krzyknął Muffin. – I są wściekli, Wyatt! Baaardzo, baaardzo wściekli!

Jakby na dowód tych słów na ulicy rozległy się wystrzały – ciężki huk wojskowych rewolwerów kalibru .44 (zapewne skradzionych) mieszał się z wyższym trzaskiem karabinów Garand.

– Przestań trząść portkami, Muffy – rzucił Doc Halliday i uniósł kapelusz.

Alberta wcale nie zdziwiło, że Doc wygląda jak Robert De Niro. Zawsze uważał, że jeśli ktoś jest idealny do roli dentysty suchotnika, to właśnie De Niro.

– Co o tym myślicie, chłopcy? – zapytał Virgil Earp, rozglądając się. On nie był podobny do nikogo.

– Chodźmy – odezwał się Wyatt. – Dość już mam tych przeklętych Clantonów.

– Daltonów, Wyatt – wtrącił cicho Albert.

– Niechby to był nawet i John Dillinger z Pretty Boy Floydem, mam to gdzieś! – krzyknął Wyatt. – Jesteś ze mną czy nie, Ace?

– Jestem z tobą – odparł Albert Kaussner cichym, lecz groźnym tonem urodzonego mordercy. Jedną rękę opuścił na rękojeść swego rewolweru Buntline Special z długą lufą, drugą zaś podniósł, żeby się upewnić, czy jarmułka dobrze leży mu na głowie. Leżała jak trzeba.

– W porządku, chłopcy – powiedział Doc. – Chodźmy skopać tyłki Daltonom.

Wszyscy czterej ramię w ramię wyszli przez uchylne drzwi saloonu w tej samej chwili, gdy dzwon kościoła baptystów w Tombstone zaczął bić południe.